



PODZIEMNY KORYTARZ

Włodzimierz Kucia

Janowiec nad Wisłą leży na lewym brzegu rzeki, w okolicach Kazimierza Dolnego, obecnie - w województwie lubelskim. Wcześniej - do 1537 roku, miejscowość nosiła nazwę Serokomla; po tej dacie uzyskała prawa miejskie i obecną nazwę - Janowiec.

Początek budowy zamku datuje się na 1503r., gdy prace rozpoczął Mikołaj Firlej, herbu Lewart. Przez kolejne trzy stulecia trwały prace - kolejno rozbudowujące i przebudowujące, w zależności od potrzeb - zamek służył celom obronnym i rezydencjonalnym, przystosowywano go do ówczesnych wymogów życia i... gustów. W XVII wieku pracami na zamku zarządzał znakomity architekt Tylman z Gameren, a wcześniej swój wkład zaznaczył rzeźbiarz Santi Gucci. Poczynając od Firlejów zamek przechodził w ręce Dulskich, Tarłów, Lubomirskich, Potockich. Wielokrotnie sprzedawany, wchodził w posiadanie coraz mniej znanych rodów, aż w końcu, od 1790 r, powoli podupadał. Wiadomo, że na pewno już w 1914r. wymagał gruntownego remontu. W 1927 roku, w czasie parcelacji majątku Oblasy, zrujnowany zamek kupił Leon Kozłowski, który był jego właścicielem do 1975 roku, jako jedyny zresztą w PRL prywatny właściciel takiego obiektu,

próbując nie dopuścić do zrujnowania budowli. W 1975r. sprzedał zamek na rzecz Skarbu Państwa; od tego też czasu rozpoczęły się na nim prace badawcze, zabezpieczające, oraz częściowa rekonstrukcja i odbudowa, trwająca do dziś.

Podczas odgruzowywania piwnic w rejonie wieży zachodniej zamku (na fotografii - wieża po lewej stronie, ze zrekonstruowanym hełmem), odkryto w jednej z nich niedrożny, dostępny jedynie w początkowej części korytarz. Podejrzewano, iż może to być wyjście ucieczkowe z zamku, wiodące gdzieś za mury.

W wyniku zlecenia Muzeum Nadwiślańskiego w Kazimierzu Dolnym, którego oddziałem jest zamek w Janowcu, Polskie Towarzystwo Eksploracyjne przeprowadziło badania tego korytarza.

Korytarz został całkowicie odgruzowany i oczyszczony, a następnie zinwentaryzowany. Wejście do niego prowadzi z jednej z zamkowych piwnic, umiejscowionej w okolicach wieży zachodniej, i jest prawdopodobnie sztucznym przebicciem ściany północnej tej piwnicy. Na początku korytarza znajduje się komora (K1), powstała po wybraniu zbitego, drobnego materiału skalnego. Usytuowana jest ona pod częścią resztek fundamentów nie

istniejącej obecnie na powierzchni budowli, mieszczącej się w obrysie murów.

W miejscu tym, jak można podejrzewać istniała ongiś piwnica, zasypana w wyniku zarywania się stropów. Od komory (K1) rozpoczyna się około 15 m długości korytarz (w rzucie poziomym - ok. 11 m), którego koniec znajduje się na głębokości 11 m pod dziedzińcem zamku. (azymut - 65 stopni). Od mniej więcej 2 m od komory (K1) korytarz wykuty jest w skale wapiennej. Został on utworzony przez poszerzenie i rozkucie naturalnych szczelin skalnych, stąd jego przebieg i przekroje są nieregularne. Po drodze powstały dwie większe komory (K2 i K3), oraz wnęki W1 i W2. W kilku miejscach występują progi (utworzone na poprzecznych szczelinach); odcinek od K1 do K2 ma większą kubaturę i jest prawdopodobnie starszy od dalszego odcinka K3. Pomiedzy wnękami W1 i W2 występuje przewężenie wymagające przechodzenia się. Występujące dalej wąskie szczeliny stymulują przepływ przez korytarz powietrza.

Na podstawie przeprowadzonych prac trudno ustalić, kiedy korytarz powstał, i czemu miał służyć.

Znane są różne legendy o ukrytych na terenie zamku skarbach, oraz o



dziwnych tunelach prowadzących z zamku do różnych miejsc. Wielokrotnie ich poszukiwano, zwłaszcza w okresie międzywojennym.

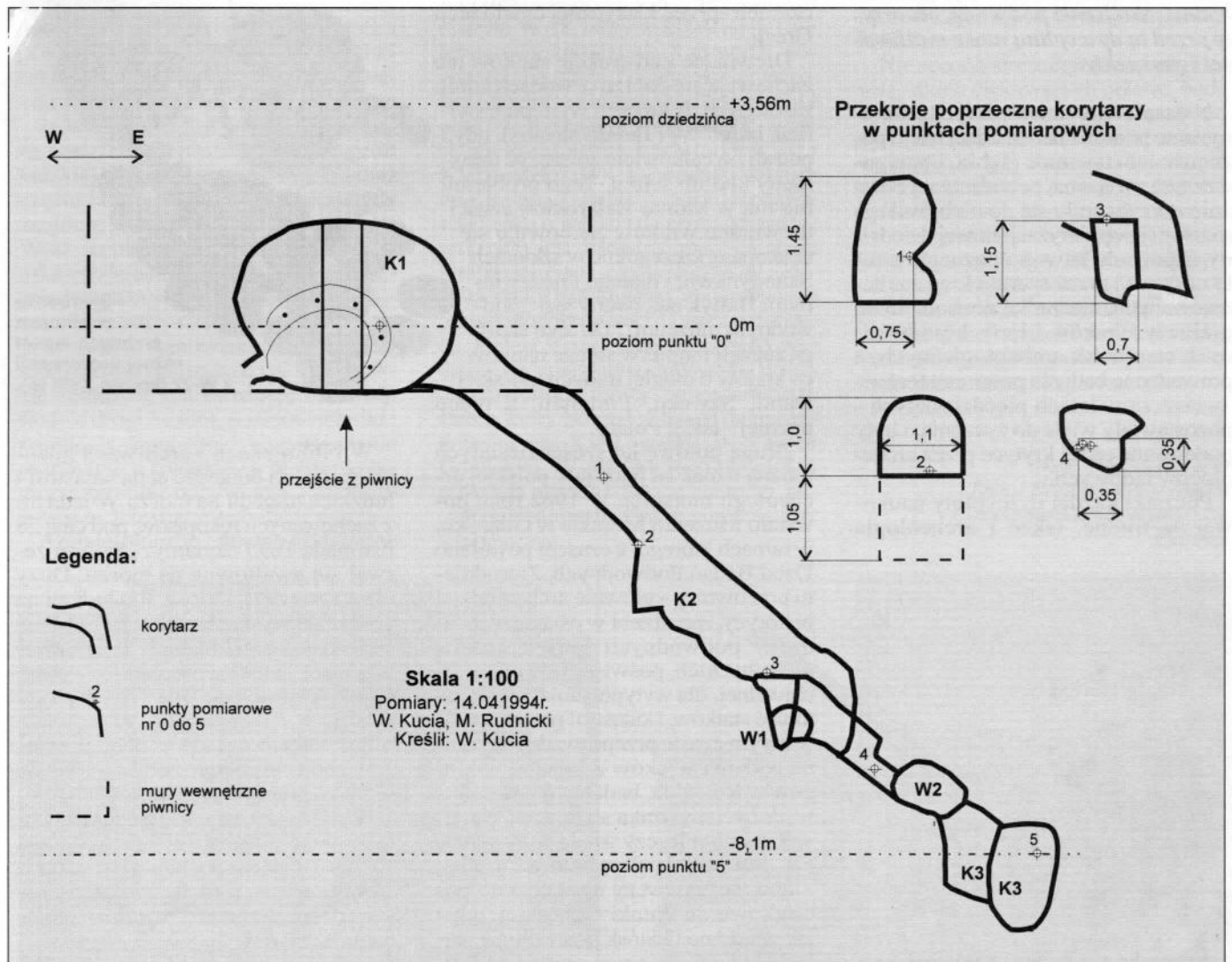
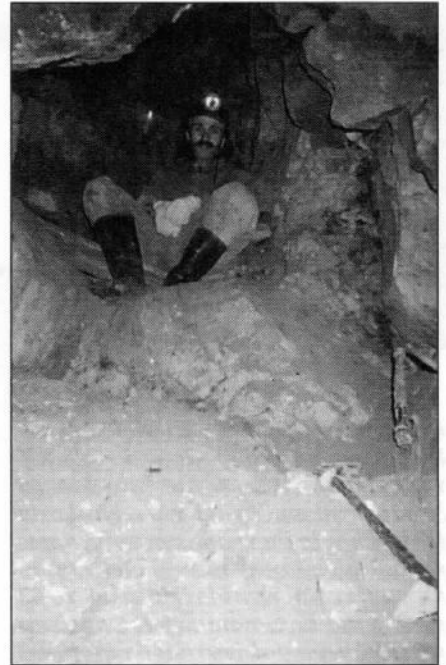
Na dziedzińcu istnieje jedyna obecnie znana studnia, w dawnej kaplicy zamkowej (na zdjęciu - półokrągła budowla na dziedzińcu zamku). Z tą właśnie studnią związana jest część legend. Odkopywano ją w okresie międzywojennym, lecz na przeszkodzie stanął wybuch II Wojny Światowej. Po 1945r. studnia została ponownie zasypana, i prac już nie wznawiano. Dopiero zawalenie się pozostałości murów kaplicy spowodowało wykonanie, w 1990r., częściowej rekonstrukcji i odgruzowania studni, do głębokości 11 m. Do tej właśnie głębokości poprowadzona została nowa obudowa, i wykonany na aktualnym dnie, wmurowany w ścianę, żelbetowy fundament, mający umożliwić

bezpieczne wykonywanie dalszych prac.

Zakładając, że studnia miałyby służyć do czerpania wody, jej głębokość w tamtym terenie może wynosić nawet kilkadziesiąt metrów. Od tak głębokiego obiektu możliwe było wykonanie podziemnego tunelu, wiodącego, co sugerują legendy, do pobliskiego Janowca. Hipotezy, mówiące o roli studni, jako zbiornika wody opadowej nie są specjalnie trafne, gdyż studnia wykonana w skale wapiennej, silnie skrasowiałej, wymagałaby bardzo dobrej izolacji, by mogła w niej utrzymać się woda, a śladów jej jak dotąd nie znaleziono...

Prawdopodobnie w tym roku zostaną przeprowadzone prace nad rozwiązaniem i tej zagadki zamku w Janowcu...

mgr. inż. Włodzimierz Kucia



Zamek w Janowcu nad Wisłą.

Podziemny korytarz w rejonie wieży zachodniej. Przekrój pionowy na zrzuconym ciągu pomiarowym na płaszczyznę W-E.



PODZIEMNE PAŃSTWO NIEMIEC cz. II

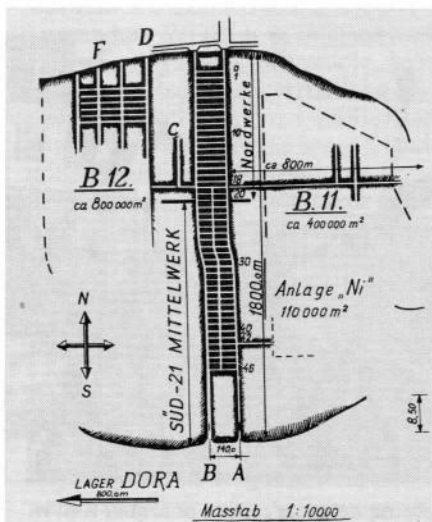
Stanisław Siorek

Przyjrzyjmy się faktom historycznym: produkcja samolotów na terenie Trzeciej Rzeszy w 1944r. osiągnęła liczbę aż 40.600 sztuk samolotów (!), w tym około 2.000 samolotów odrzutowych. Nie licząc stale rosnącej produkcji samolotów bez pilota V1 (których docelowo miano produkować, wg poleceń Hitlera, aż 1.000 dziennie), a także całej gamy broni raketowej, w których V2 stanowiła tylko jeden z najbardziej eksponowanych rodzajów. W tym samym czasie odnotowano też gwałtowne wzrosty produkcji czołgów, okrętów podwodnych i innego uzbrojenia. A wszystko to działo się w czasie, gdy alianckie naloty dywanowe już od 1942r. zamieniały niemiecki przemysł zbrojeniowy w sterty gruzów...

Produkcja samolotów w III Rzeszy:

1939	2518
1940	10247
1941	12491
1942	15409
1943	24807
1944	40593
1945	7540 /do kapitulacji/

(Źródło: Zbigniew Jankiewicz, „Powstanie i upadek Luftwaffe,” Wydawnictwo Poznańskie, 1972r.)



Stąd nie od rzeczy wydaje się pytanie, jak możliwy jest tak dynamiczny rozwój produkcji, powstawanie nowych konstrukcji i ich testowanie, jak możliwe jest w końcu osiągnięcie tak wysokiego pułapu wytwórczego, jeżeli wszystkie państwa walczące z Niemcami, łącznie z ruchami partyzanckimi podbitych krajów robiły wszystko, by niemieckie zamierzenia gospodarze uniemożliwić. Jedyłą zaś logiczną odpowiedzią na to pytanie jest stwierdzenie, iż zasadniczą część gospodarki óczesnych Niemiec musiała być całkowicie bezpieczna. Gdzie?

W literaturze, a zwłaszcza w archiwach i dokumentacjach można znaleźć odpowiedź i na to pytanie. Są tam bowiem szczegółowe opisy... podziemnych obiektów przemysłowych!

Istnieje dość dokładny opis podziemnej fabryki, znajdującej się na terenach dawnej NRD. Wydaje się, że wszelkie informacje o niej udostępniono tylko dlatego, że fabrykę tę przed Rosjanami zdobyli Amerykanie, wywożąc oczywiście wszystkie wartościowe maszyny, urządzenia i surowce, a zwłaszcza gotową broń, w tym V1 i V2, oraz dokumentację techniczną - roboczą. Więźniowie i robotnicy przymusowi z tego obiektu przeżyli tylko dlatego, że zarząd fabryki, i kierownictwo obozu koncentracyjnego Mittelbau/Dora, licząc na dobroduszość Amerykanów, zdecydowało się poddać bez walki.

Początki tej fabryki, opisaną m.in. przez Wincentego Heina w książce pt. „Zagłada więźniów obozu Mittelbau”, sięgają jeszcze 1933r. Firma „Leuna”, wchodząca w skład koncernu I.G. Farbenindustrie, rozpoczęła drążenie tuneli w górze Kohnstein, niedaleko miejscowości Nordhausen w Turynii. Drążono dwa równoległe położone tunele, które w 1935r. miały już po 800 m. długości. Były one przystosowane do założenia w każdym z nich po dwóch normalnej szerokości torów kolejowych, z pełnym wyposażeniem bocznic do normalnego manewrowa-

nia pociągami. Te równoległe tunele zostały połączone bocznymi korytarzami, z rozbudowanymi na ich osiach halami produkcyjnymi, których łączna długość wynosiła „tylko” 5 (słownie - pięć!) kilometrów. Całość miała powierzchnię 50.000 m² i pojemność 350.000 m³. Ujęcia powietrza znajdowały się na zboczu góry, pod osłoną drzew, które tworzącą się mgłę i zawirowania powietrza skutecznie zasłaniały przed wzrokiem lotniczym. Powietrze do podziemnej fabryki doprowadzane było specjalnie wykutymi tunelami, a urządzenia tłoczące i wywiewne (potężne wentylatory) zapewniały cogodzinną, całkowitą wymianę powietrza. Zainstalowana klimatyzacja zapewniała stałą temperaturę 17 stopni Celsjusza, oraz 7 procent wilgotności.

W latach 1936 - 1938 przedłużono dwa główne tunele o dalsze 1800 m. każdy (łączna ich długość wynosiła teraz 2600 m - dla każdego tunelu), i również połączono je bocznymi halami, od numeru 19 do 46. Oczywiście poprzednio było wykonane 18 hal bocznych. Te hale, czy też tunele boczne, miały szerokość 12,5 m i wysokość 8,5 m każdy.

Łączna powierzchnia wynosiła wtedy 125.000 m², a pojemność wzrosła do 875.000 m³.

Na zachód od tunelu B, na wysokości hali nr. 18 wydrążono tunel zapasowy C.

Przeciętny stan załogi w tej fabryce wynosił około 18.000 więźniów, początkowo stale przebywających pod ziemią; w kwietniu w 1945r. w obozie przebywało 40.000 więźniów.

W halach podziemnego molocha firma Mittelwerk zorganizowała produkcję Messerschmittów, a później pocisków i raket V1 i V2.

Aby lepiej zrozumieć los więźniów obozów koncentracyjnych zatrudnionych i stale przebywających pod ziemią (dopiero w kwietniu 1944r. więźniów zakwaterowano w barakach na

powierzchni, bo skończył się napływ nowych jeńców), zauważyliśmy, że w podziemnych halach słabo funkcjonowały urządzenia wodno - kanalizacyjne, dlatego odchody ludzkie gromadzono w beczkach po karbidzie, które później wydzieleni więźniowie wynosili na powierzchnię. W wilgotnym powietrzu unosił się niesamowity fetor moczu, kału i potu ludzkiego, bo o myciu się nie mogło być mowy. Ze ścian ściekała woda, pościel była całkowicie mokra, podobnie jak mokre były pasy, w których więźniowie pracowali.

Albert Speer, jeden ze zbrodniarzy hitlerowskich, ówczesny minister Rzeszy do Spraw Uzbrojenia, Amunicji i Przemysłu Wojennego, o wizytacji tej fabryki napisał we „Wspomnieniach”:

„... 10 grudnia 1943r. wizytowałem tutaj obszerne pomieszczenia, w których w przyszłości miały być wytwarzane V2. W długich, jak gdyby nie kończących się halach więźniowie byli zajęci montowaniem maszyn i zakładaniem instalacji”
 „był to montaż urządzeń do produkcji seryjnej broni V - przyp. St.S.). „Nie mogę zapomnieć pewnego profesora z Instytutu Pastera w Paryżu, który składał zeznania jako świadek w procesie norymberskim. On również był zatrzymany w „Mittewerk”, który ja wówczas wizytowałem. Rzeczowo, bez jakiegokolwiek podniecenia, opowiadał o nieludzkich warunkach, panujących w tej nieludzkiej fabryce (...). Warunki, w jakich żyli ci więźniowie były rzeczywiście barbarzyńskie: na wspomnienie o tym jeszcze teraz ogarnia mnie uczucie głębokiego zażenowania i osobistej winy. Jak dowiedziałem się od dozorców po zakończeniu wizyty, istniały tam niedostateczne warunki sanitarne, szerzyły się choroby, więźniowie kasłali w swoich miejscach pracy, w wilgotnych pomieszczeniach podziemnych, dlatego też notowano wśród nich wysoką śmiertelność”.

Dalej Speer relacjonuje, że na jego współpracownikach, asystujących mu podczas wizytacji tej fabryki, zastana sytuacja wywarła tak szokujące wrażenie, że natychmiast „trzeba ich było wysłać na przymusowy urlop”.

Nic dziwnego - choroby płuc w podziemiach rąbał każdy więzień praktycznie już po kilku dniach, i z reguły umierał w ciągu dwóch, trzech miesięcy na zapalenie płuc.

Mimo tego Speer wciąż tworzył nowe podziemne fabryki zbrojeniowe, i ciągi komunikacji podziemnej; przyszłe powojenne metra.

Jedna z podziemnych fabryk, znajdujących się naszym terenie, została opisana w literaturze faktu.

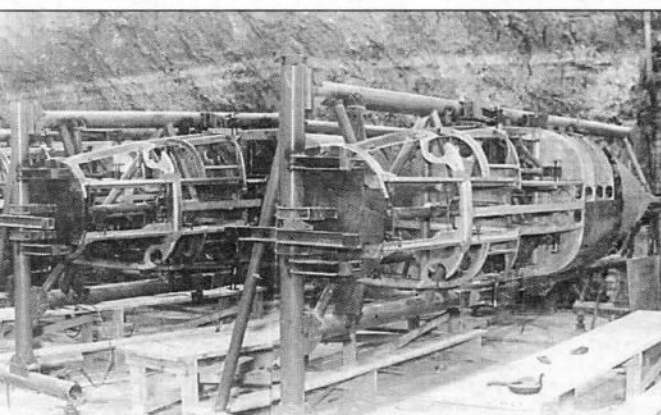
W 1946r. utworzona została, przez ówczesne Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, grupa penetracyjna, która otrzymała bardzo poważne pełnomocnictwa, i jeszcze poważniejsze zadania, których celem było odnalezienie zapasów surowców i nie wykorzystanych maszyn, ujawnienie nieczynnych zakładów pracy na ziemiach zachodnich i północnych, oraz... uporządkowanie stanu posiadania Armii Czerwonej, a głównie odebranie jej zakładów rolnych i przemysłowych, eksploatowanych, lub tylko zajmowanych na wszelki wypadek.

Do dyspozycji kierownika grupy oddano też posiadane przez resort MBP i MSW informacje. Na liście penetracyjnej znalazła się między innymi miejscowość Potok (Pattag), nazywana też jako Neissen Bruck, położona nad Nysą Łużycką w byłym powiecie Żary, tuż przy granicy z Niemcami, przy drodze na trasie Przewóz - Muskau.

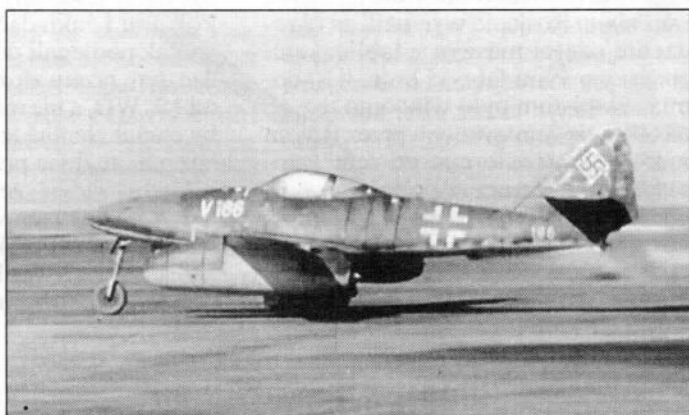
Podziemny obiekt zaczynał się już 3 km za Przewozem, po prawej stronie drogi, w lesie, wzdłuż szosy, i ciągnął się na przestrzeni 4 kilometrów. Dla zabezpieczenia bezpieczeństwa głównego informatora, Niemca z pochodzenia, jego personalia i bliższe dane utaj-

niono od samego początku, i to się w przyszłości okazało bardzo mądrym posunięciem; na czas penetracji nadano mu polskie nazwisko - Jana Adamskiego, co też potwierdzono odpowiednimi dokumentami legalizacyjnymi - świadectwem pracy i legitymacją ze zdjęciem.

Jan Adamski w latach 1937 - 1939 pracował przy budowie tej fabryki, i przy jej rozruchu produkcyjnym. Fabryka posadowiona została na głębokości 20 m pod powierzchnią ziemi. Główny korytarz ma około 2 km długości. Ma on charakter ulicy o szerokości umożliwiającej minięcie się dwóch samochodów ciężarowych (informator obserwowwał często takie mijanki na całej długości tunelu), a do tego dochodził wydzielony pas dla kolejki wąskotorowej, i dwa boczne chodniki dla pieszych. Od głównego korytarza, w odstępach co 10 m, naprzemiennie z obydwu stron, rozchodziły się boczne hale produkcyjne, których długość wynosiła około 200 m. Fabrykę drażono metodą górniczą. Wydobyta ziemia wywożono kolejką wąskotorową na powierzchnię, i rozrzucono na zboczach wzniesienia. Na powierzchni były tylko szopy ukrywające wjazd samochodowy i kolejowy do podziemi, oraz windy dla pieszych. Stało też kilka lekkich budynków administracyjnych. Fabryka miała wyprowadzoną ze stacji Przewóz boczną koleją, a wewnątrz obiektu była rampa wyladownicza i załadownicza. Przy rampie były specjalne otwory - szyby, którymi specjalnym taśmociągiem dostarczano pod ziemię dowiezione koleją surowce do produkcji. Podobnymi otworami - wincami - wywożono na powierzchnię gotową produkcję. Cały teren zalesiony na powierzchni około 10 km² był ogrodzony i dokładnie pilnowany. Może to wskazywać na istnienie na tym obszarze innych, podobnego typu obiektów.



Montaż części samolotu raketowego HE 162 w podziemiach zakładów „Langusta” pod Wiedniem.



Start myśliwca ME 262 C-1a z napędem raketowym

tów, bądź też rozrzuconych magazynów amunicji.

Po wojnie obiekt zajęła Armia Czerwona i... rozpoczęła produkcję.

W maju 1947r. dowódcą tego garnizonu produkcyjnego był pułkownik Bojko.

W rozmowie z grupą operacyjną, której warty nie wpuściły na obiekt, płk. Bojko zaprzeczył aby istniała tam jakakolwiek fabryka naziemna, czy podziemna, stwierdził, że są tylko budynki dla kompanii wartowniczej i stółki. Jednak aby można było wejść na obiekt wojskowy, należało uzyskać zgodę generała Ługanowa lub Sokolskiego ze Sztabu w Legnicy. Podczas omawiania poglądów płk. Bojko dyskredytował Adamskiego, sugerował, że wprowadza on w błąd, że to szpieg, który podstępnie chce wtargnąć na obiekt wojskowy, i w końcu wyraził chęć aresztowania go.

Na szczęście nie doszło do tego, gdyż polska grupa była dobrze uzbrojona i przygotowana na taką sytuację.

Już później Jan Adamski był długo poszukiwany przez NKWD, jako radziecki jeńiec wojenny. Przepuszczalnie zamierzano uzyskać od niego dane o tej części obiektu do których Rosjanie nie dotarli. Ówczesne władze (na niższych szczeblach całkowicie polskie) dopilnowały jednak, aby prawdziwe nazwisko Jana Adamskiego nie trafiło nigdy ani do Rosjan, ani do Niemców.

Człowiek ten dożył we Wrocławiu sędziwego wieku..

Ale wróćmy do momentu badań - krążąc wokół bramy koszar radzieckich, ustalono na podstawie zeznań Adamskiego, że główny wjazd do podziemnego systemu jest położony około 500 m od bramy.

To było jedyne ustalenie; grupa penetracyjna była zbulwersowana zachowaniem się czerwonoarmiejców. W komendzie WOP- u w miejscowości Przewóz uzyskano informację, że nie tak dawno Rosjanie wyrzucili za ogrodzenie części maszyn z tabliczkami znamionowymi fabryki broni z Radomia. Wopistom było wiadomo też, że na obiekcie zajmowanym przez Rosjan było sporo transformatorów zwiezionych przez Niemców z różnych miast polskich, dla ukrycia. Jeden taki transformator, mający tabliczkę z Łodzi, otrzymali wopisci dla własnych potrzeb oświetleniowych, jako dar od Armii Czerwonej.

Na stacji kolejowej Przewóz ustalono, że ruch kolejowy do bazy radzieckiej odbywał się wagonami zaplombowanymi, w ilości około 30 miesięcznie.

Wagony na bramie wjazdowej do bazy były dokładnie sprawdzane, od spodu też, i przejmowała je radziecka załoga. Jesienią 1946r. ruch kolejowy z bazy był szczególnie intensywny i przekraczał 2.000 (!) wagonów miesięcznie. Głównie wywożono działa i pociski artyleryjne.

Według innego świadka, za Niemców wszyscy robotnicy musieli chodzić po obiekcie w specjalnym obuwiu miękim, aby nie zaistniały możliwości iskrzenia o kamień. Wszyscy robotnicy niemieccy musieli złożyć specjalną przysięgę strzegącą tajemnicy, za której złamanie groziła śmierć. Pracujący tam jeńcy pod koniec wojny zostali wymordowani przez Niemców.

Polska grupa operacyjna wyciągnęła na koniec bardzo radykalne wnioski końcowe - postulowano pilne i agresywne wręcz działanie wobec Rosjan, mające na celu odzyskanie fabryki w ruchu, aby nie powtórzyła się taka sytuacja, jak w przypadku miejscowości Nowa nad Drawą, gdzie Rosjanie po długim ociąganiu się oddali grupie penetracyjnej podobny obiekt, ale kompletnie zrujnowany i ogołocony z maszyn.

Stwierdzenia jednego ze świadków, o sposobie zabezpieczania tajemnic przez Niemców tłumaczy, dlaczego tak trudno o bezpośrednie zeznania dotyczące podziemnych fabryk. Werwolf - tajna niemiecka organizacja, działająca po wojnie na tyłach frontu - pilnował, aby tajemnica była dotrzymywana. Rosjanie wszak nie zdobyli wszystkich fabryk, a te do których weszli i uruchomili produkcję, często nie w całości były dostępne. Armia Czerwona traktowała Niemców jako jeńców wojennych, i zatrudniała w „swoich” zdobytych podziemnych i naziemnych fabrykach, reklamując ich też przed wysiedleniem z terytorium PRL. Później zezwalano jeńcom osiedlać się w pobliżu obiektu, ale wyjazd z Polski był dalej zakazany. Mogli się żenić z Polkami i zakładać rodziny. Wszyscy jednak podlegali dodatkowej przysiędze, tym razem złożonej przed oficerami NKWD, a nie ma odważnego, który by chciał złamać te dwa surowe przykazania, te dwie przysięgi.

Można sądzić, że podobnie jak wiele innych, tak i ten wojskowy obiekt w miejscowości Potok, Rosjanie przekazali Polsce nawet bez jakichkolwiek śladów po podziemnej fabryce...

Stanisław Siorek

Zdjęcia z książki „Niemieckie samoloty rakietowe 1939 – 1945”



PODZIEMNY WROCŁAW

Włodzimierz Kucia
Stanisław Siorek

Marek Ordyłowski w książce pt. „Życie codzienne we Wrocławiu, 1945 – 1947” podaje, iż „w podziemnych szpitalach Wrocławia przebywało ponad 6.000 rannych i chorych żołnierzy niemieckich”.

Aktualnie znane są dwa podziemne wrocławskie szpitale z tamtych czasów: na Placu Solnym – istnieje nawet jego dokumentacja techniczna – i przy Nowym Targu. Można w nich pomieścić zaledwie kilkaset osób. Gdzie więc znajdują się pozostałe podziemne szpitale?

Odnaleziony fragment dokumentacji niemieckiej wskazywał lokalizację dwóch podziemnych obiektów szpitalnych w podziemiach Dworca Głównego i na Placu Grunwaldzkim. W Szczecinie odnaleziono ostatniego komentanta wojskowego jednego z tych obiektów (na Placu Grunwaldzkim), który, po złożeniu ustnej relacji o jego położeniu i pojemności (miał to być szpital dwupoziomowy), po przyjechaniu na miejsce miał dokładnie wskazać położenie dwóch włazów do podziemia dla pieszych (windy), i wjazd samochodowy. Wejścia do tych szpitali zostały wysadzone, przy czym przed wysadzeniem zdołano wyprowadzić ze szpitala tylko lekko rannych. Działo się to w 1947 roku – podziemie niemieckie – Werwolf – zdołało owego człowieka zamordować, nim dotarł do Wrocławia...

Cytowany wyżej Marek Ordyłowski podaje też, że na ulicy Świdnickiej, między Domem Towarowym a Operą było istne miasto podziemne. We wrześniu 1945r. niemieckie podziemie ostrzelało z rejonu zalegających tam gruzów polski patrol milicyjny, i ciężko raniło jednego z funkcjonariuszy. Zorganizowany pościg nie doprowadził do ujęcia sprawców, ale przy przeczesywaniu gruzów ujawniono wejście do rozległych podziemnych hal, w których były urządzone wygodne mieszkania; wiele pomieszczeń miało

wodo- i gazoszczelne pancerne drzwi. Była tam doprowadzona – i działająca(!) – energia elektryczna, olbrzymie zapasy żywności, kuchnie, i... samodzielna podziemna piekarnia. Szczegółów nikt nie badał, wejście zasypało, by na przyszłość odciąć drogę „Wilkołakom” – jak nazywano Werwolf. Niektórzy uważają, że był to kolejny podziemny szpital, nikt tego jednak nie sprawdził...

Ryszard Majewski i Teresa Sozańska w książce pt. „Bitwa o Wrocław”, wydanej w 1975r., cytują fragment pamiętnika kpt. Niemakina, dowódcy batalionu 955 pułku piechoty, 309 Dywizji, 6 Armii Czerwonej, zdobywającego Wrocław. Z treści pamiętnika wynika, że batalion ten walczył na ulicy Grabiszyńskiej, gdzie między innymi zdobywał znajdującą się tam „elektrownię”. Wszystko było w tej „elektrowni” pod prądem – pisał Niemakin, i wielu żołnierzy radzieckich, szturmujących obiekt, zginęło porażonych prądem. W końcu zdobyto tę dziwną „elektrownię” – ale Niemcy broniący jej wycofali się podziemnym tunelem, zalewając go za sobą wodą. Pościg stał się niemożliwy, ale przygotowana możliwość zalania tunelu sugeruje, że nie był to tunel ściekowy, lecz tunel komunikacyjny podziemnego miasta.

Opisywane wydarzenia prawdopodobnie miały miejsce w kwadracie ulic: Grabiszyńska, Żelazna, Oporowska, Stalowa, zaś tunel z tego właśnie kwadratu biegł w kierunku Dworca Głównego.

Po przeciwnej stronie wymienionego kwadratu znajduje się znany Wrocławianom potężny bunkier przy ulicy Grabiszyńskiej. W czasie walk o Wrocław pełnił on rolę składnicy wojskowych map niemieckich, dotyczących terenów Związku Radzieckiego.

W okresie międzywojennym, i w czasie wojny mieszkał we Wrocławiu lekarz medycyny – dr Stefan Kuczyński, który tutaj kończył studia medyczne i pozostał na stałe. Utrzymywał stały kontakt z polskim konsulatem, i z

tego powodu był też znany rezydenturze polskiego wywiadu, działającej przy konsulacie. Na początku 1939r. przekazał polskim agentom wywiadu informacje, mówiącą o tym, że Niemcy werbują polskich robotników do prac, o których ci ostatni nic nie wiedzą. Po zatrudnieniu... znikają na zawsze. Pracując w nadzwyczaj ciężkich warunkach, przy pełnej izolacji ze światem zewnętrznym, umierają z wycieńczenia w przedsiębiorstwach w których się zatrudnili.

Powyższa informacja, przekazana polskim służbom specjalnym, jest chyba jedynym dramatycznym dowodem tego, że Niemcy jeszcze w czasie pokoju zatrudniali Polaków w podziemnych obiektach, z których już nikt żywy nie mógł wyjść na powierzchnię.

W swoich powojennych pamiętnikach Stefan Kuczyński napisał między innymi:

„W roku 1944 spędziliśmy święta Bożego Narodzenia pozornie spokojnie. Po pierwszym większym, i na razie ostatnim nalocie bombowców radzieckich w październiku, nie nawiedziły Wrocławia żadne poważniejsze klęski, które wynikałyby z bezpośrednich działań wojennych. Niemniej panowało wśród ludności miasta – pod koniec wojny przeszło milionowego – przygnębienie. Wszystko płynęło niby swoim nurtem uregulowanym, a jednak wkraadało się coś obcego do znanego nam obrazu ulicy, do naszego życia domowego. Widzieliśmy – w takim Wrocławiu rzecz niebywała – całe stada bydła pędzonego ulicami do rzeźni miejskiej, spotykaliśmy kolumny pojazdów ciężarowych z tajemniczym ładunkiem, szczerlnie przykrytym brezentem, to znów inne zespoły samochodów przewożących worki i skrzynie z żywnością, które lokowano w piwnicach – magazynach o małej pojemności, znajdujących się w pobliżu Placu Czerwonego. Nocami wywożono z gmachów urzędowych i banków akta, z większych sklepów cenniejsze towary, z muzeów, domów prywatnych,

kościółów dzieła sztuki, kosztowności. Usuwano pomniki: Bismarka z Placu 1 Maja, Bluchera z Placu Solnego, Fryderyka II z Rynku. Wywożono je za miasto i zakopywano w ziemi. Liczba 670 000 Wrocławian wzrosła do ponad 1 miliona mieszkańców, ze stref bombardowanych na zachodzie. Wielu mieszkańców zniknęło na kilka tygodni, i koło Oławy, Żmigrodu, Sycowa czy Brzegu budowali okopy i bunkry.

Zaludniły się bunkry przy ulicy Grabiszyńskiej i Ładnej, przy Placu Strzegomskim, przy dworcu „Odra,” podziemia na Placu Targowym i Solnym, na placu przed Dworcem Głównym. Wszystkie te bunkry budowano w czasie wojny, w latach 1941 - 1943. Nikt nie znał wówczas ich przeznaczenia, nikt nie mógł się do budowy zbliżyć, otoczone były szczelnym dwumetrowym ogrodzeniem, pracowano przy nich w dzień i w nocy. Robotnicy rekrutowali się prawie wyłącznie z cudzoziemców, przeważnie z Polaków - „ochotników” z łapanek warszawskich!

Dobrze poinformowani twierdzili, że będą to pomieszczenia dla niewolników i jeńców wojennych, odbudowujących zniszczone miasta niemieckie”.

Powyższy cytat zaczerpnięto z książki o pracy zbiorowej o charakterze pamiętnikarskim, noszącej tytuł „Trudne dni”.

Te, oraz inne informacje, uzyskane między innymi przez Andrzeja Urbanowicza w toku rozmowy z pewną starszą wrocławianką, Niemką z pochodzenia (nazwisko zastrzeżone), skłoniły Stanisława Siorka do wysunięcia tezy, iż bunkry te, już po ich zbudowaniu, a więc w latach 1943 - 1945 służyły za kwatery dla więźniów pracujących w podziemnych fabrykach Wrocławia, i są one tunelami połączone z całym podziemnym systemem miasta. Wspomniany już Stefan Kuczynski na codzień obserwował postępy budowy bunkrów, i na codzień, jako lekarz, obcował z Niemcami, często wysoko postawionymi w hierarchii władzy, i w czasie oblężenia miasta leczył rannych niemieckich żołnierzy w głębokim bunkrze przy ulicy Poznańskiej (teren dzisiejszego Technikum), a więc tuż po sąsiedztwie bunkra przy Placu Strzegomskim.

Za tezę o wykorzystaniu na kwatery tych bunkrów, z zewnątrz opatrzonych jedynie w otwory wentylacyjne, przemawiają inne jeszcze fakty.

Bunkier przy ulicy Ołbińskiej - bardzo podobny do tego przy Placu Strzegomskim - poddany został przez PTE-xpl. gruntownym badaniom. Znalazio-

no dwie zabetonowane klatki schodowe, prowadzące z piwnicy obiektu do jego dalszych podziemnych kondygnacji, lub tuneli, łączących bunkier z podziemnym systemem komunikacyjnym (co potwierdzają zresztą zeznania nielicznych świadków). Betonowe „korki”, o strukturze wyraźnie innej niż struktura ścian bunkra mają sporo więcej niż trzy metry grubości.

Użyty sprzęt, dostarczony przez firmę Hilti nie umożliwił wykonania w poziomie głębszych odwiertów.

Co ciekawe - takie budowle nie są tylko właściwością Wrocławia! Wzniesiono je również w samym sercu Niemiec!

W 1987r. w Polsce prezentowana była, znana już wcześniej na świecie, wystawa fundacji Korbera z Hamburga, nosząca tytuł „Robotnicy przymusowi i jeńcy wojenni III Rzeszy”. Twórcy wystawy zaprezentowali między innymi list radzieckiego robotnika przymusowego z Ufy, A. N. Machniowa, który pisał:

„Nasze komando więzienne składało się z około 2.000 osób. Mieszkaliśmy w odległości około 4 km od bunkra „Valentin”, również w budowie, choć zupełnie innego typu. Był to okrągły betonowy grobowiec o średnicy około 70 - 80 m, i głębokości około 15 m. Z góry porośnięty był drzewami, które mogły mieć 8 lat. Niemcy, znajdujący się wśród nas opowiadali, że w okolicy Bremen - Farge wiele jest takich bunkrów...”

Zacytowany opis okrągłego „grobowca” pasuje do opisu wrocławskich bunkrów. Brakuje im tylko drzew na dachach, ale ich płaskie dachy były do tego przystosowane...

W archiwach wrocławskich znajdują się informacje mówiące o tym, że na terenie dzisiejszego WSK znajdowały się podziemne hale. Niestety, Rosjanie wywieźli wszystkie maszyny z zakładów; prawdopodobnie wywieźli także park maszynowy z części podziemnych, a włązy zasypali lub wysadzili w powietrze; takiego wysadzenia mogli też dokonać wcześniej Niemcy - w każdym razie ekipa poszukiwawcza, pod nadzorem polskiej administracji niczego nie znalazła, chociaż dysponowała poważnym sprzętem badawczym w postaci półorametrowego pręta żelaznego i pięciokilogramowego młotka do wbijania go w ziemię...

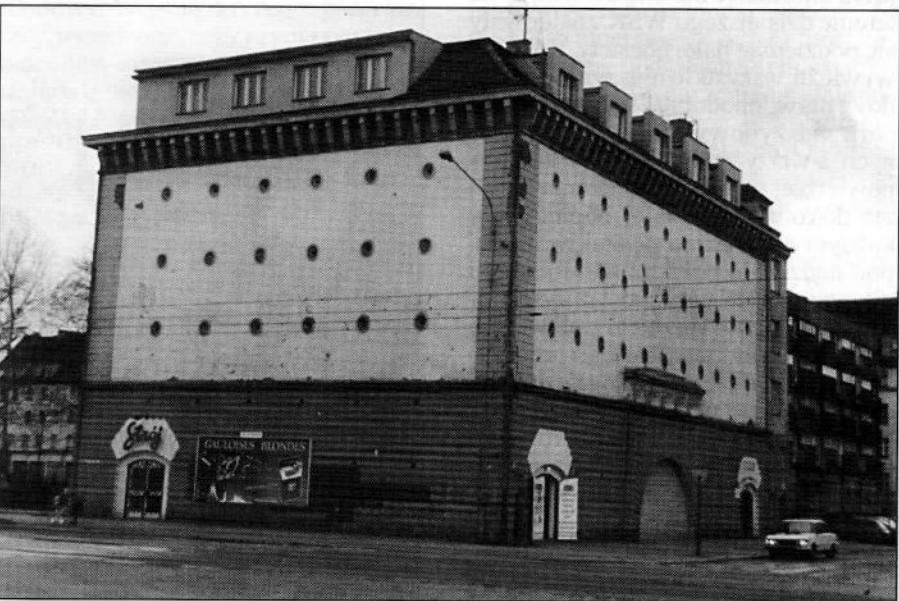
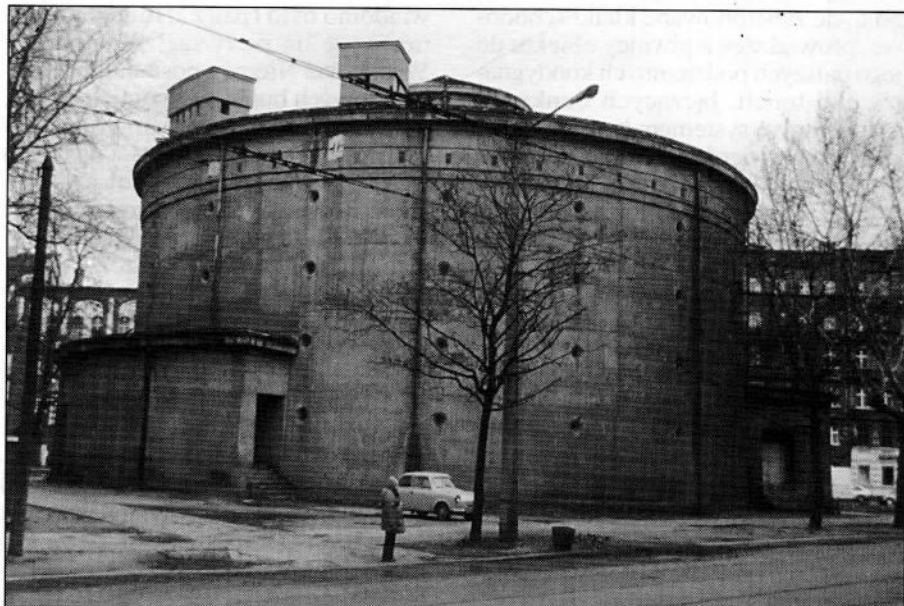
O podziemnym Wrocławiu dużo wiedział sztab II Armii Wojska Polskiego, która w trakcie oblężenia Wrocławia została sprowadzona pod Wrocław i rozlokowana w rejonie Trzebnicy. Z protokołów przesłuchań jeńców

wiadomo było (patrz „Biuletyn II Armii”), że na pierwszej linii obrony Wrocławia Niemcy posiadali pas żelazno-betonowych bunkrów, trzypiętrowych, pokrytych żelazo-betonem grubości 3 metrów, i tej samej grubości nasypem ziemnym. Bunkry te były połączone ze sobą podziemnymi korytarzami, które łączyły bunkry i tzw. blokhauzy, czyli schrony dla załogi, mieszczące 80 - 120 żołnierzy. Tak w bunkrach jak i w blokhauzach była dobrze pracująca wentylacja, kanalizacja, oświetlenie elektryczne, wodociągi, składy żywności i amunicji.

O tych bunkrach prawie nic nie wiadomo!

W zapiskach pierwszych osadników można znaleźć informacje, że w samym Wrocławiu istniały obszerne kanały komunikacyjne. I tak, z ulicy Lelwela prowadzi tunel do Placu 1 Maja, a tam łączy się z innym. Od linii kolejowej na Krzykach biegnie tunel ulicą Lwowską (wspomniane zdobywanie „elektrowni” na Grabiszyńskiej), Plac Pereca, pod torami towarowego Dworca Świebodzkiego (pisano nawet reportaże z przeglądu piwnic pod budynkami stacyjnymi, stwierdzając, zresztą zupełnie słusznie, że niczego tam nie ma), do ulicy Głogowskiej. Inny tunel, o wysokości 2,90 m. i szerokości 4 m. przebiega ulicą Sztabową, przez Plac Powstańców Śląskich, ulicą Pretficza, do podziemnego zbiornika przy ulicy Głogowskiej. Istnienie obszernego tunelu odnotowano też przy skrzyżowaniu rurociągu z szosą wiodącą do Lipy Piotrowskiej (są dane o istnieniu w niej podziemnej fabryki - o czym napiszemy przy okazji), oraz opisano podziemne przejścia pod Odrą np. z Popowic na Osobowice.





W sprawie podziemnego Wrocławia wypowiadał się również pewien duchowny (dane zastrzeżone), który w związku z przynależnością do AK musiał po wojnie udać się, profilaktycznie, na wewnętrzną emigrację i zewnętrzną ucieczkę z rodzinnych stron do Wrocławia. Tu podjął studia w ledwo co otwartym polskim seminarium duchownym. Wykładowcą języka niemieckiego był wówczas były dyrektor niemieckiej kolei z Dworca Głównego. Po zajęciach klerycy zbiorowo odprowadzali Niemca do domu; czasy były bardzo niespokojne; podczas tych wędrówek dyrektor opowiadał, że Wrocław był nie do zdobycia, i nigdy by się nie poddał, gdyby nie zdrada. Niemcy musieli zatopić wiele fabryk podziemnych, aby nie dostały się w ręce Rosjan. Musieli też zatopić podziemny dworzec kolejowy....

Z pewnością nie uda się nikomu uzyskać kompletnej dokumentacji technicznej podziemnego Wrocławia. Taka dokumentacja była opracowana i przechowywana w specjalnych oddziałach SS. Dla Dolnego Śląska, oraz VIII Okręgu Wehrmachtu i Okręgu Luftwaffe taką dokumentację wykonywało i zabezpieczało SS - Bauinspektion Ost we Wrocławiu. Były to ściśle tajne dokumenty. Dzisiaj wiadomo, że tajne archiwa SS zostały ukryte w zamku (w podziemiach) von Althanów na Dolnym Śląsku (patrz St. Siorek - „Jeszcze o oświęcimskich księgach śmierci”, Polska Zbrojna nr. 18/93), i w 1945r. dostały się w ręce Armii Radzieckiej. Od tej chwili nie są dostępne dla historyków, podobnie jak nie są dostępne zbiory archiwalne niemieckiego wywiadu BND i NRD-owskiej Stasi, które gromadziły wszelkie dane na interesujące nas tematy.

Tajemnice podziemnego Wrocławia były znane kompetentnym władzom polskim już w 1937r. W lipcu 1937r. szef placówki wywiadowczej przy konsulacie RP we Wrocławiu, mjr Bruno Grajek, noszący pseudonim „Gaertner” informował swoją centralę w Warszawie o rozbudowie lotniska wojskowego we Wrocławiu - Strachowicach. Raportował on, że „na lotnisku prawie nic nie widać. Na powierzchni, w pewnym oddaleniu od starego lotniska znajdują się dwa wielkie budynki (szopy) drewniane. W większej szopie znajduje się zjazd do podziemia. Do szopy tej wjeżdżają duże samochody ciężarowe; dopiero wewnątrz szopy zaczyna się pochyły zjazd. Agent twierdzi, że nawet dobry obserwator, stojący zewnątrz szopy nie może nic szczególnego zauważyć. Pod ziemią

znajdują się trzy hale. Środkowa jest gotowa, boczne w budowie. Agent widział środkową halę, lecz pracował w jednej z bocznych. Poziom hal znajduje się 40 m. pod powierzchnią ziemi. Agent, schodząc po raz pierwszy do hal był zdumiony olbrzymimi ich rozmiarami. Wszystkie oświetlone dużymi, silnymi lampami elektrycznymi; budowa ścian z żelaza i betonu. Wymiary gotowej hali: wysokość 14 m., długość 350 m., szerokość 150 m., grubość podłogi 60 cm., ścian 2,50 m., sufitu 3,20 m.; żelazne filary olbrzymich rozmiarów podtrzymują sufit. Te same dane odnoszą się do hal będących w budowie - mają one być ukończone jeszcze w tym roku. Agent ocenia, że każda z hal pomieści najmniej 80 dużych samolotów. Wjazd samolotów odbywa się przez 3 duże, prawie leżące bramy, wychodzące wprost z ziemi na lotnisko, przesuwane w bok, każda szerokości 40 m. Od poziomu hal tunel wznosi się łagodnie ku brantom. U każdej z bram znajduje się walec, w którym biegą 2 liny stalowe, podciągające równocześnie dwa samoloty. Otwieranie bram i podciąganie samolotów odbywa się przy pomocy prądu elektrycznego w zupełnej ciszy.

Na powierzchni dookoła lotniska można widzieć jeszcze 18 okrągłych podwyższeń, wystających 20 cm ponad poziom ziemi. Są to tzw. „Flakturme”. Pokrywy pancerne tych wież pokryte warstwą ziemi widać wystające nad poziomem, wewnątrz nich znajdują się działa przeciwlotnicze, reflektory oraz miejsca dla obsługi, pokrywy przesuwają się w bok, działa, względnie reflektory podnoszą się do góry, do poziomu ziemi - również pod napięciem elektrycznym.

Każda wieża jest uzbrojona w działa przeciwlotnicze, kaliber 8,8 mm i dwa reflektory. Lotnisko jest zupełnie odgrodzone i silnie strzeżone. 200 m. od lotniska zbliżających się zatrzymują i legitymują”.

(Źródło: Centralne Archiwum Wojskowe w Rembertowie, Akta Placówki „Adrian”).

W 1984r. na bazie wstępnych informacji, mówiących o tym, że w pobliskim Krzeptowie, na terenach między tą wioską, a ogrodzeniem lotniska, po prawej stronie drogi wiodącej z Krzeptowa do lotniska, pod koniec wojny wjeżdżały pod ziemię samochody ciężarowe wylądowane bliżej nie znana zawartością, prowadzono prace rozpoznawcze, w których uczestniczył (i inspirował je), dysponując źródłem informacji, współautor niniejszego tekstu, Stanisław Siorek. Ponieważ

rozpoznanie należało też prowadzić przy ogrodzeniu lotniska, trzeba było skontaktować się z dowództwem stacjonującego tam pułku lotniczego, i jego służbami specjalnymi, ochraniającymi obiekt - Wojskową Służbą Wewnętrzną (WSW) wojsk lotniczych. Okazało się, że wojsko miało kłopoty z opanowaniem wód gruntowych na lotnisku, których poziom z nieznanymi powodów nagle się podniósł, przez co pasy startowe stały się niestabilne, łamały się, i „płynęły” na grząskim podłożu. Eksperci nie potrafili zaradzić złu, jednak wyczuwali, że przyczyną są bliżej nie znane „sztuczki” budowniczych niemieckich. Oficerowie WSW z wielką troską i zaangażowaniem pokazywali studzienki, czy szybiki, w okolicy Krzeptowa, wypełnione wodą, której tam wcześniej nie było, jakieś wysadzone bunkry, czy budowle, też wypełnione wodą. Nikt wówczas nie przypuszczał nawet, że mogły istnieć tam rozległe hale fabryczne, czy też, jak kto woli, podziemne hangary. Wojsko zostało zmuszone do ponownego zmeliorowania terenów całego obszaru lotniska, i w ten sposób sprawa ucihła. Nikt w tym czasie nie znał relacji majora Brunona Grajka z placówki polskiego wywiadu we Wrocławiu, bo owe akta były głęboko utajnione. W czasie penetracji terenów przylotnicowych, obok współdziałającej ze Stanisławem Siorkiem ekipy Wojewódzkiego Ośrodka Archeologiczno - Konserwatorskiego we Wrocławiu, na czele z jego dyrektorem Tadeuszem Kaletynem, obecny był radiesteta, major Nadwiślańskich Jednostek Wojskowych, inż. Bogusław Modrzejewski, saper z zawodu, który swoje zdolności radiestetyczne wykorzystywał też w pracy na rzecz Biura Ochrony Rządu. Wykonał on wstępne badania, i wstępną dokumentację, mówiącą o tym, że poruszano się po terenie podziemnym, uzbrojonym w podziemne hale, położone na dużych głębokościach. Nikt jednak nie dał wtedy temu wiary, a dyrektor Tadeusz Kaletyn zdecydował przerwać dalsze bezowocne poszukiwania. Narzędziami poszukiwawczymi wtedy były już nie tylko młot i pręt żelazny, ale też koparka (mogła wykopać 2-3 metrową dziurę), oraz magnetometr z przedsiębiorstwa geodezyjnego.

Interesujące, że dane wywiadowcze weryfikują ustalenia radiestetyjne!

Analiza obrazu teleradiestetyjnego skłania do daleko idących wniosków. Obiekt, jak się okazuje, jest połączony z widocznymi na mapie stawami w Żernikach, a także z dwoma tunelami

technologicznymi, przez Jerzmanowo, z rzeką Bystrzycą.

Przestudiowanie akt placówki wywiadu polskiego we Wrocławiu zaoocowało jeszcze innym interesującym odkryciem. Otóż na początku września 1937r szef placówki wywiadu mjr Bruno Grajek nadał do Centrali - Oddział II Sztabu Głównego Wojska Polskiego w Warszawie - meldunek następującej treści „Wiadomość uzyskana od robotnika rolnego Jana Musiała, obywatel polski zam. Protsch (obecnie Pracze Widawskie - wyjaśnienie autorów), pracuje obecnie w Osnitz k/Wrocławia. Wymieniony przyszedł do placówki z okazji gróźby wydalenia z Niemiec. Wymieniony pracował na początku wiosny, z ramienia firmy, przez 3 tygodnie przy budowie lotniska, poczem zwolniono go z powodu obywatelstwa polskiego. Pracował, jak podaje, przy zakładaniu rur na lotnisku w Stabłowicach!

(...) Budowę lotniska rozpoczęto wiosną 1937r. Lotnisko ma mieć mniej więcej 50 hangarów podziemnych w budowie. Każdy hangar ma się składać z trzech oddzielnych komór. Każda komora ma być tak wielka, że może pomieścić 1 - 2 aparaty. Ściany i sufity hangarów (komór) mają być żelazo - betonowe, grubości, mniej więcej, pół metra. Z lotniska prowadzą do Stabłowicz (Stabłowice - osiedle Wrocławia - przyp. autorów) rury, i to wspólne do wody, kabla, telefonu”. Mjr Grajek usiłował zlokalizować to lotnisko, czy fabrykę samolotów, lecz nie udało mu się to z racji rozstawionych tablic zakazu wstępu i fotografowania.

Obiekt jest umiejscowiony na osiedlu Pracze Odrzańskie, na obszarze ograniczonym od północy ulicą Praczką, od wschodu ulicą Brodzką, od południa - na wysokości stacji kolejowej Wrocław - Pracze, a od zachodu linią kolejową Wrocław - Ścinawa. Odprowadzenie ścieków fabryki wyprowadzono do rzeki Bystrzycy.

Obiekty podziemne w Stabłowicach wymagają wnikliwego badania z uwagi na ich ścisłe powiązanie z sąsiednim zespołem nadziemno - podziemnym na Maślicach i Kozanowie, w koszarach poradzieckich, gdzie w czasie wojny produkowano silniki do samolotów i czołgów, oraz okrętów podwodnych i prawdopodobnie amunicję lotniczą (Maślice), a także montowano okręty podwodne (Kozanów). □

Stanisław Siorek
Włodzimierz Kucia

Zdjęcia bukrów: Stanisław Siorek

SZTUKA DEZINFORMACJI

Ryszard Marest

Słowo „dezinformacja” (w skrócie „dezo”), zamiennie też używane jako „inspiracja”, jest znanym terminem we wszystkich służbach specjalnych świata. Dla „dezo” pracują bez przerwy setki oficerów służb specjalnych; w okresie konfliktów zbrojnych, czy napięć politycznych, ich rola, i stan osobowy, znacznie się zwiększają.

Słownik wyrazów obcych mówi, że dezinformacja, to fałszywa, kłamliwa, rzekoma informacja, zaś człon tego słowa - „dez” - oznacza odwrotność, lub przeciwieństwo. Podobnie „inspiracja” - oznacza między innymi wpływ, poddawanie, czy też podsufwanie myśli, pomysłu, co inaczej można określić słowem - suggestia.

Władysław Kozaczuk w książce pt. „Bitwa o tajemnice - służby wywiadowcze Polski i Rzeszy niemieckiej w latach 1922-1939” pisze, że:

(...) „Inspirowanie, tj. mylenie przeciwnika, wmawianie mu pewnych rzeczy wbrew jego pierwotnemu zamiarowi, zaprzatanie jego uwagi sprawami drugorzędnymi, prowokacyjne podsufwanie obciążających danych o ludziach najzupełniej niewinnych, a często na odwrót, wartościowych obywateli, których następnie śledził całymi miesiącami, a nawet latami kontrwywiad - jest w swej istocie zbliżone do objęcia kierownictwa wywiadem nieprzyjacielskim (...). Na metody przepływu inspiracji składają się tzw. gry kontrwywiadowcze, czyli przekazywanie danych za pomocą podwójnych agentów (przewerbowany, ustalony wcześniej przez kontrwywiad agent obcego państwa, pracujący teraz dla drugiej służby za cenę nie aresztowania go, albo własny agent odpowiednio przygotowany i podstawiony obcemu wywiadowi do zwerbowania), albo poprzez celowe „przecieki” informacji w środowisku rozpoznanego, a nie aresztowanego celowo (ciągła kontrola nad nim za pomocą innych agentów) agenta obcego wywiadu, „niedyskrecje” prasowe, które umiejętnie podane, są wykorzystywane przez obcych agentów jako źródło informacji (...).

Historia XX wieku dostarcza nam wielu przykładów niezwykle skutecznych działań dezinformacyjnych.

Brytyjczycy w lipcu 1942r. chcą zmylić wywiad niemiecki, długo i skutecznie ukrywali fakt, iż generał Montgomery, znany jako zdolny dowódca wojskowy, przebywa w Egipcie, dowodząc bry-

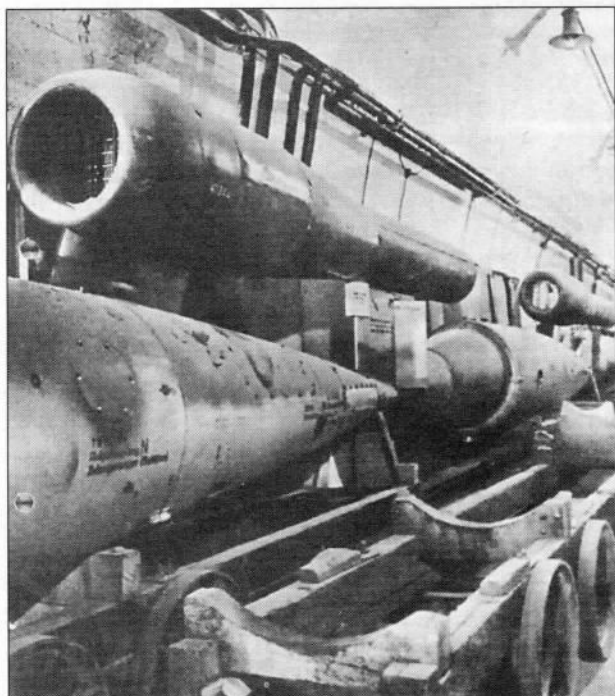
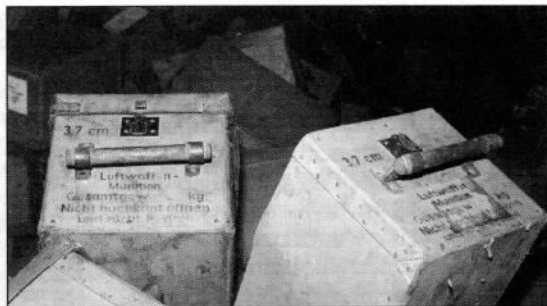
tyjską 8 Armią, przygotowując generalną rozprawę z hitlerowskimi wojskami „Afrika Korps”, dowodzonymi przez marszałka Rommla. Aby to osiągnąć, postarano się nawet o sobowtóra Montgomery, który demonstracyjnie pokazywał się w Anglii, o czym agencja hitlerowska, w dobrej wierze, informowała w Berlinie.

Wygrano na czasie, uspiono czujność Niemców, co pozwoliło zgromadzić siły do ostatecznej bitwy pod EL Alamein, która rozegrała się pod koniec października 1942r.

Równie ciekawym przykładem jest „Bitwa o ciężką wodę”, czyli działania mające na celu opóźnienie niemieckich badań atomowych.

Pierwsze rozbitcie jądra atomu uranu miało miejsce w grudniu 1938r. Dokonali tego niemieccy profesorowie Instytutu Chemii im. Cesarza Wilhelma w Berlinie - Dahlem, Otto Hahn i Fritz Strassman. Niemcy, w odróżnieniu od Anglików czy Amerykanów, szybko zorientowali się, że to odkrycie może wyzwoić ogromne moce niszczycielskie, i dlatego już w maju 1939r. fizycy, przy poparciu Ministerstwa Wojny i Ministerstwa Oświaty, założyli stowarzyszenie badawcze, w codziennym żargonie zwane jako „Uran - Verein”, zaś władze niemieckie doprowadziły do całkowitego utajnienia badań, zakazu wszelkich publikacji na ten temat, i zabezpieczenia wszelkich dostępnych zapasów uranu. Dla spowolnienia strumienia neutronów w reaktorze, bombardującego jądro uranu, potrzebne były albo pręty grafitowe, albo też aż 5 ton ciężkiej wody, która mogła, podobnie jak grafit, przyczynić się do wyprodukowania z uranu odpowiedniej ilości plutonu, z którego można było zbudować bombę atomową.

Niemcy z powodu błędnych obliczeń jednego tylko uczonego, z konieczności odrzucili możliwość zastosowania grafitu, stawiając jedynie na ciężką wodę. Jedynym na świecie producentem ciężkiej wody w tym czasie była



V-1 w podziemiach zakładów Mittelwerk.

firma Norsk Hydro w Rjukanie w górach Telemark, 75 km na zachód od Oslo, w Norwegii. Współwłaścicielem firmy był niemiecki koncern IG - Farbenindustrie, który już pod koniec 1939r. zabezpieczył całą produkcję dla potrzeb Niemiec.

Amerykanie i Anglicy zwrócili uwagę na tę nową broń Niemiec dopiero wtedy, gdy z terenu Niemiec zbiegli na Zachód niemieccy fizycy pochodzenia żydowskiego, którzy wspólnie z takim naukowym autorytetem, jakim był Albert Einstein (jego list do prezydenta USA z sierpnia 1939r. był odczytany w USA dopiero w październiku ubiegłego roku!), z trudem co prawda, ale uświadomili Zachodowi grożące mu i ludzkości niebezpieczeństwo. Amerykanie rozpoczęli badania na bazie grafitu. Aby jednak „przekonać” Niemców, że tylko ciężka woda jest niezbędna do zbudowania bomby jądrowej (co zdecydowanie wydłużało badania), rozpoczęto działania dezinformacyjne. W akcji sabotażowej zniszczono urządzenia w Norsk Hydro. Gdy je Niemcy odbudowali - zniszczono je ponownie. Kiedy Niemcy usiłowali promem „Hydro” wywieźć z Norwegii zapasy ciężkiej wody oraz urządzenia fabryczne, Brytyjczycy, wiedząc, że to ze strony Niemiec bezcelowa operacja, spowodowali jednak atak i wysadzenie promu na jeziorze Tinnsjo, razem z norweską załogą.

„Dezo” musiało być prowadzone do końca.

Kiedy Niemcy powrócili do pierwotnej koncepcji zastosowania do badań prętów grafitowych, w brytyjskiej prasie, mimo zakazu publikacji o zbrojeniach atomowych, ukazała się seria artykułów inspirowanych przez SIS - wywiad angielski, z których, poprzez agentów, Niemcy mogli się dowiedzieć, że Zachód z powodu braku dostępu do ciężkiej wody nie skonstruuje bomby atomowej, jak też nie skonstruuje jej Niemcy, bowiem Zachód nie dopuści do uruchomienia jej produkcji. To ponownie znakomicie osłabiło tempo prac badawczych w Niemczech.

Jak wiadomo, w końcu Niemcy z opóźnieniem, ale jednak weszli na właściwą w tym czasie, grafitową drogę, i do ostatniej chwili wierzyli, że uda się im zbudować upragnioną bombę, mogącą odwrócić nadciągającą klęskę w kolejne pasmo zwycięstw.

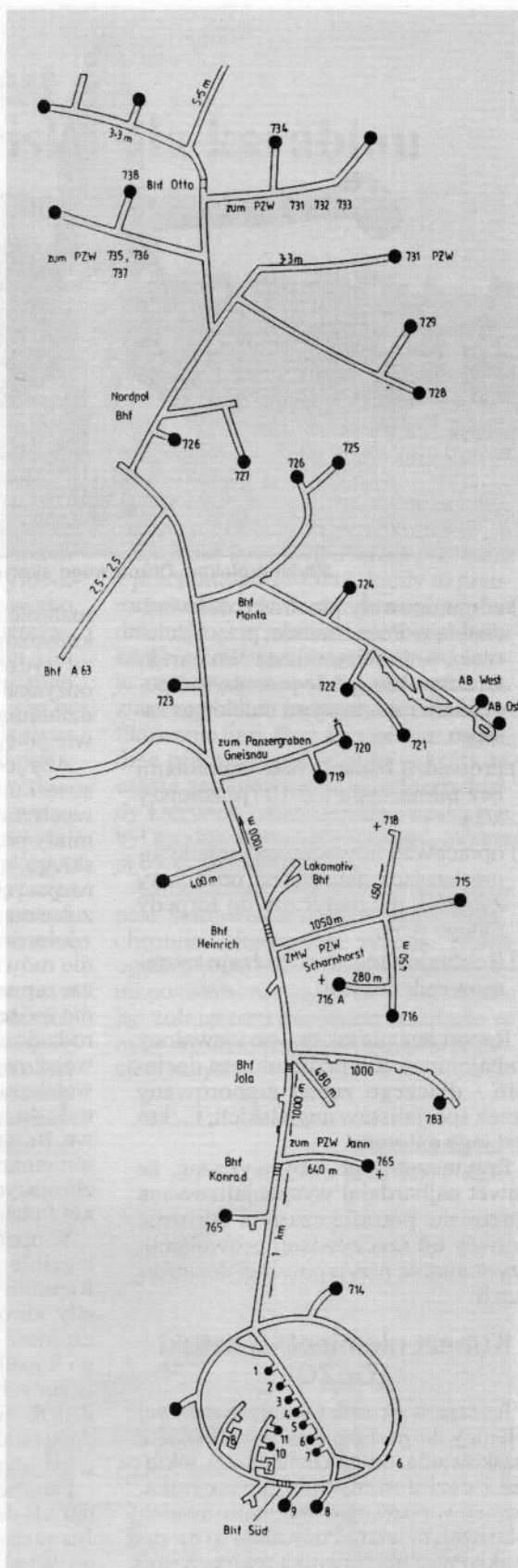
Alianci zapewne nie wiedzieli też do końca wojny, że w dolnośląskich Kowarach Niemcy jednak uruchomili produkcję ciężkiej wody dla swych badań atomowych, które w Sudetach były dość daleko zaawansowane.

Nieprzypadkowo też budowana w Alpach „Twierdza ostatniej nadziei” obejmowała także Sudety, skąd miało przyjść ocalenie. Warto przy tej okazji zauważyć, że pod koniec wojny samoloty alianckie zatopiły na jeziorze Dąbie pod Szczecinem, niemiecki statek załadowany... prętami grafitowymi właśnie. Niewykluczone więc, że w tym rejonie także eksperymentowano z uranem, lub produkowano broń rakietową, gdzie grafit był również niezbędny.

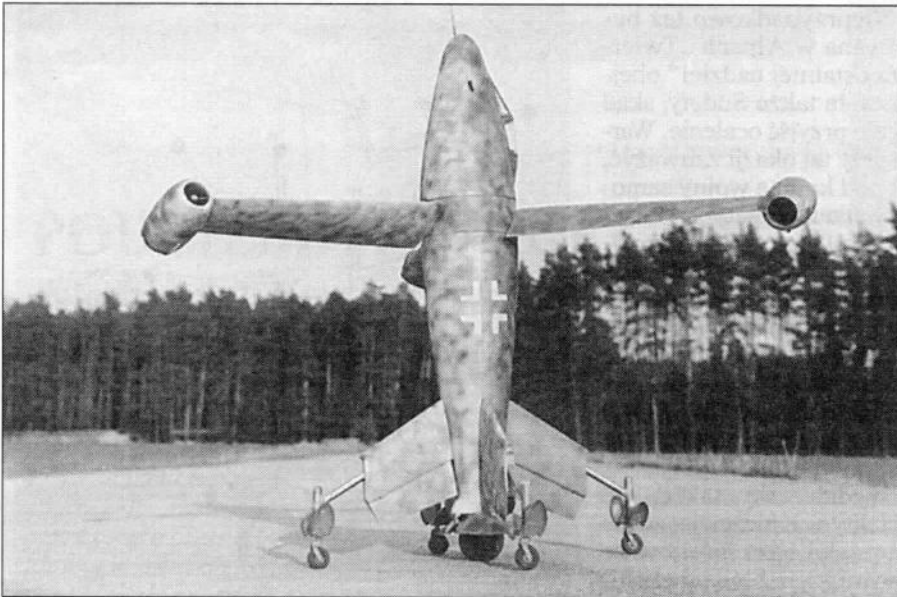
Wydaje się także, że obiekty w Kluczewie, znane nam jako baza lotnicza, ze swymi zagrożeniami ekologicznymi, też są związane z tymi tajemniczymi i na pewno podziemnymi obiektami; w prasie publikowane były zdjęcia tuneli, których przeznaczenia nikt nie mógł określić.

Brytyjczycy dali się też poznać jako ludzie o małej wyobraźni. Otóż w listopadzie 1939 roku anonimowy nadawca wysłał list z Oslo, do władz brytyjskich informując o niemieckich nowoczesnych zbrojeniach. Dokument ten wszedł do historii jako „Raport z Oslo”. Raport ten Anglicy odczytali jako niemiecką dezinformację, mimo, że autor zupełnie wiarygodnie informował, iż Niemcy już w tym czasie:

- 1) produkowały miesięcznie 5 tysięcy bombowców typu Junkers Ju-88 i do kwietnia 1940r. zwiększą wydajność do 25 tysięcy sztuk.
- 2) posiadają zdalnie sterowany szybowiec o napędzie rakietowym TZ-2, odpalany z samolotów będących w locie, przeciwko okrętom nieprzyjaciela (taki szybowiec w udoskonalonej wersji ES-293 istotnie niszczył brytyjskie okręty!).
- 3) posiadają jeszcze inne pociski rakietowe, kaliber 80 cm, będące jeszcze w fazie udoskonalenia, ale już zdolne do walki.



Szkic przebiegu tuneli MRU w rejonie Baryszce - Wysoka - Kęszyca (ok 15 km), wykonany odręcznie przez majora Stepanienko z Departamentu Uzbrojenia MON. Wykonany we wrześniu i październiku 1945r. podczas penetracji obiektu.



Model projektu „Obrotowego skrzydła” 1944r.

- 4) zorganizowały placówkę doświadczalną w Peenemunde, przy ujściu rzeki, w pobliżu miasta Wolgast k/ Greifswaldu, gdzie pracują nad pociskami raketowymi dalekiego zasięgu.
- 5) prowadzą badania nad samolotami bez pilota, typu FZ-10 (późniejszy V1).
- 6) opracowali nowoczesną torpedę samosterującą, akustyczną, oraz nowy zapalnik magnetyczny do torpedy innego typu.
- 7) Rozbudowują dwa rodzaje systemów radarowych.

Raport ten, nie tak dawno ujawniony (odtajniony), jest przedmiotem dociekań - dlaczego został zignorowany przez specjalistów angielskich, i... kto jest jego autorem!

Przytaczamy go, aby wykazać, że nawet najbardziej wyspecjalizowane służby nie potrafią czasami odróżnić prawdy od rzeczywistej prowokacji, czy starannie przygotowanej dezinformacji.

Kunst niemieckiej sztuki „DEZO”

Jeszcze w okresie I wojny światowej Niemcy do perfekcji rozwinęli sztukę maskowania, odwracania uwagi, mylenia i dezinformowania przeciwnika, przy równoczesnym utajnieniu swoich własnych działań. Pozwalało to na zaskakiwanie przeciwnika, realizowanie swoich planów bez narażania się na straty. Po przegranej wojnie, zwycięskie mocarstwa nałożyły na Niemcy bardzo surowe ograniczenia traktatowe. W Wersalu bowiem postanowiono

rozbroić Niemcy, i skierować na demokratyczny rozwój. Były to tylko pobożne życzenia. Niemcy badzo szybko odzyskali pewność siebie, i wszystkie działania przyporządkowali odbudowie potęgi i znaczenia w świecie.

Aby jednak uspokoić wielkie mocarstwa i uniknąć ich interwencji w wewnętrzne sprawy Niemiec, do czego miały prawo na mocy traktatu wersalskiego, niemieckie władze wojskowe rozpoczęły ogromne narzekania, wykazując zupełną bezsilność Niemiec, niezdolność do obrony własnych granic, nie mówiąc już o zdolności do wojny zaczepnej. Dowodzono, że przemysł nie może produkować podstawowych rodzajów broni, nie ma magazynów wojskowych, a wznoszone umocnienia wojskowe, budowane wbrew zakazowi traktatu wersalskiego, są bezwartościowe. Równolegle alarmowano świat domniemanymi zagrożeniami ze strony zbrojących się sąsiadów, w tym głównie Polski.

W oparciu o te mity, prawie zupełnie legalnie rozbudowywano, jeszcze w Republice Weimarskiej, niemieckie siły zbrojne. Chcąc do końca uspić czujność opinii światowej, rozpoczęto, po Rapallo, szkolenie kadry dowódczej w tajnych ośrodkach szkoleniowych w ZSRR. Tam też prowadzono wspólne doświadczenia nad samolotami, czołgami i bronią chemiczną.

Dojście Hitlera do władzy dało nowy impuls do działań dezinformacyjnych. Już w marcu 1933r. Hitler w Reichstagu wygłosił wielką mowę, prosząc świat o tolerancję i zgodę. Zadeklarował respektowanie postanowień traktatu wersalskiego, potępił okrutne idee wojny i zapewnił, że Niemcy to najbardziej pokojowy naród w Europie. Od-

ciał się też od rasizmu i od roszczeń terytorialnych.

Prasa angielska i francuska dała się nabrać na te puste deklaracje i zachwycała się „wielkim pacyfistą” - Adolfem Hitlerem! On wiedział jednak, że demokrację można najłatwiej uspić pięknymi słowami. Już 20 lipca 1933r. Hitler podpisał ze Stolicą Apostolską konkordat, i zagwarantował dla kościoła katolickiego pełne swobody religijne. Wcale to jednak nie przeszkadzało, by w niedługim czasie posłać do więzień i obozów koncentracyjnych tysiące zakonników, księży i wierzących pod zarzutem... niemoralności i handlu obcymi walutami. Wiele kościołów i obiektów kultu religijnego wykorzystano do maskowania przemysłu zbrojeniowego, w tym i podziemnego; tego typu obiekty były, w wypadku wojny chronione porozumieniami międzynarodowymi, co zapewniało im trwałość i niezniszczalność.

W końcu Hitler ogłosił ustawę o narodowym kościele Rzeszy, zobowiązany do tępienia obcych mu wyznań chrześcijańskich, wywodzących się przeciw od judaizmu.

Hitler wprost powiedział: „... Niech faszyzm zawiera sobie w imię Boże pokój z Kościołem. Ja też to zrobię, Cemu nie? Ale wcale mnie to nie powstrzyma, żeby w Niemczech wypłenić chrześcijaństwo z korzeniami do ostatniego włókienka. (...) Dla naszego narodu natomiast jest rzeczą decydującą, czy przejmie żydowską wiarę chrześcijańską, z jej miękką moralnością miłosierdzia, czy też silną, bohaterską wiarę w Boga w przyrodzie, Boga we własnym narodzie, Boga we własnym losie, własnej krwi”.

I ten Naród poszedł za bogiem Hitlera. Na początku swej państwowotwórczej kariery, mówiąc o programie zbrojeń Adolf Hitler powiedział;

...” W lotnictwie będziemy oczywiście przodować. Lotnictwo daje rozległe możliwości. Będziemy mieli przewagę nad każdym. Mamy na tym polu tylko jednego poważnego przeciwnika: Anglików. Słowianie nigdy nie nauczą się prowadzić walki w powietrzu. To męska broń, germański sposób walki. Każę zbudować największą flotę powietrzną na świecie. Będziemy mieli najbardziej bojowych pilotów. Oczywiście zorganizujemy także wielką armię.”

W innym monologu Fuhrer wyjaśnił, że rolnik niemiecki będzie właścicielem, oraz awansuje na robotnika przemysłowego, a w rolnictwie będą pracować innoplemienni, wędrujący robotnicy!

„Międzyrzecki Rejon Umocniony”,

czy

„Międzyrzecki Rejon Podziemnych Fabryk?”

Powszechnie uważa się, a napisano na ten temat wiele, że Międzyrzecki Rejon Umocniony (MRU) to system stałych fortyfikacji niemieckich, wzniesionych na domniemanym kierunku uderzenia wojsk polskich, które podobno mogły zagrozić Berlinowi, oraz ruchem okrężnym odciąć Niemcy od Górnośląskiego Centrum Przemysłowego i surowcowego. Taka idea Polski mocarstwowej bardzo odpowiadała naszej próżności narodowej, cały jednak dowcip polegał na tym, że ani Hitler, ani jego Sztab Generalny wcale nie zakładali, że Polska będzie kiedykolwiek zdolna do wykonania takiego manewru. Kolportowanie tego typu informacji było jednak potrzebne, aby odwrócić uwagę od gigantycznych prac podziemnych prowadzonych w tym rejonie.

Zaczęło się przecież bardzo prozaicznie, tak jak w wielu innych miejscowościach, np. w Lubiążu, przy budowie ogromnego, podziemnego kompleksu militarnego - ludności okolic Międzyrzecza powiedziano, że znaleziono pokłady różnych minerałów i zbuduje się kopalnie, w których wszyscy znajdą zatrudnienie i staną się robotnikami przemysłowymi, co przecież Hitler zakładał. Miejscowi chłopcy mieli stać się górnikami i specjalistami różnych branż, np. od układania podziemnych konstrukcji betonowych, czy od eksploatacji „kopalń”, a na chłopskiej ziemi mieli pracować głównie sezonowi rumuńscy robotnicy, nie znający języka, nie mogący niczego podsłuchać, czy dowiedzieć się czegokolwiek.

I tak było wręczewistości. Kiedy już legenda o budowie kopalni nie wystarczała, ogłoszono oficjalnie, że buduje się system obronny - MRU - mający chronić Bramę Lubuską przed polską inwazją.

Bardzo ostentacyjnie budowano „tarczę obronną” dla Niemiec - w Mostkach pokazano publicznie bunkier, „panzerwerk”, chyba jedyny w tym rejonie w tym czasie, i wykonano strzelania z armat do niego, w obecności... zgromadzonych attache wojskowych, aby nikt nie miał wątpliwości co do tego, iż w tym rejonie buduje się jedynie masywne umocnienia obronne.

Jakie jednak są fakty?

1) Budowę MRU rozpoczęto w 1936r. W tym roku akurat też rozpoczęto budowę tzw. „podziemnego” Wrocławia (Maślice - Stabłowice), Lubiąża i wielu innych podziemnych obiektów przemysłowych, a nie „systemów obronnych”. Wspomniana wrocławska fabryka miała, jak na owe czasy, bardzo nowoczesny system obronny (raporty polskiego wywiadu z tego okresu publikujemy także w tym numerze „Exploratora”). Inny system obronny, z uwagi na znaczenie, mogły mieć fabryki w Międzyrzeczu. Mogło to prowadzić do połączenia koncepcji obrony podziemnych fabryk, z budową pomieszczeń dla oddziałów wartowniczych (panzerwerki), z potrzebą zamaskowania obiektu - odwrócenia od niego uwagi służb wywiadowczych, a w wypadku wojny - wyłączenia go z wszelkich podejrzeń o produkcję wojenną. Nieobsadzonego systemu obronnego, w dodatku nie dokończonego, nikt by przecież nie bombardował. Można sądzić, że to nie zagrożenie ze strony Polski, a zagrożenie ze strony Anglii i jej samolotów liczyło się najbardziej.

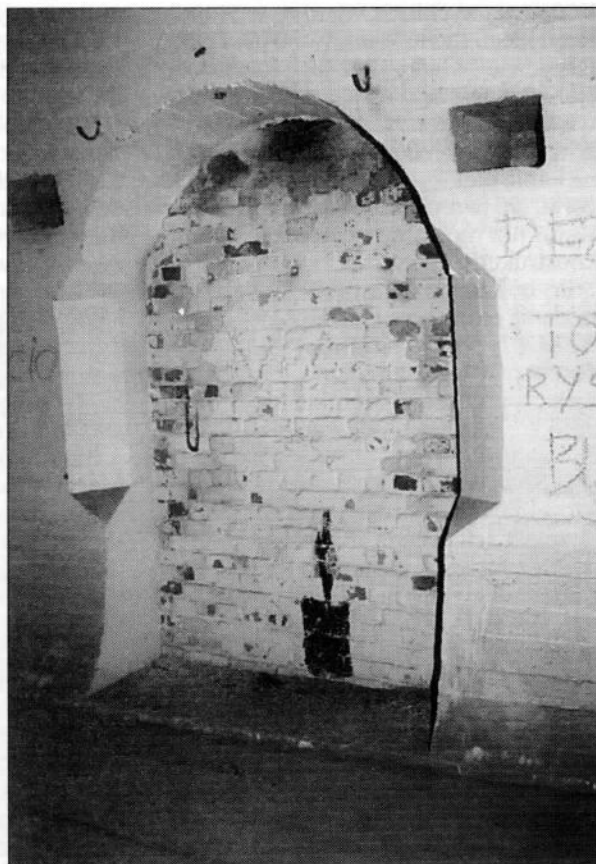
Rosjanie prawie bez wystrzału zdobyli ten wielce umocniony, bardzo kosztowny i rozbudowany system, w którym zakwaterowano aż 2.000 żołnierzy z oddziałów... wartowniczych, niezdolnych i nieprzygotowanych do obrony. W przeróżnych teoriach wspomina się o rzekomej nieudolności niemieckiego dowództwa; byłaby to nieudolność piramidalna - niewykorzystanie gotowych atutów obronnych o tak ogromnym znaczeniu - a przecież nie zaniedbano niczego np. przy przygotowywaniu obrony „Wału Pomorskiego”.

2) Wszyscy autorzy publikacji, a jest ich stosunkowo dużo, jednoznacznie wspominają, że w MRU zainstalowano jednak podziemną fabrykę na 1500 stanowisk roboczych, ale dodają, że uczyniono to niejako z konieczności, gdy naloty angielsko - amerykańskie w 1943r. osiągały swoje

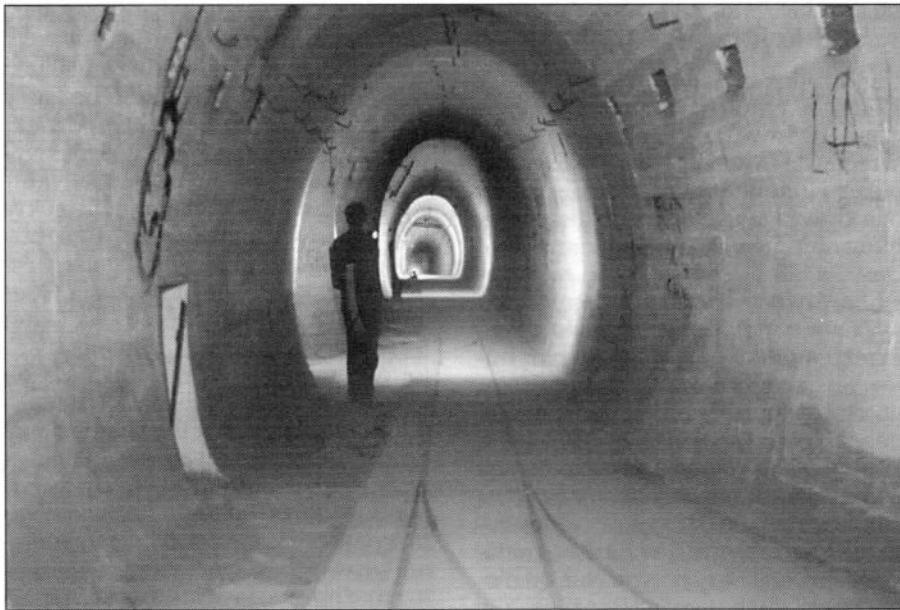
apogeum, i stały się bardzo dokuczliwe dla niemieckiego przemysłu.

Jest to kolejny mit stworzony przez samych Niemców, a przez badaczy bezkrytycznie przyjęty jako pewnik. Niemcy bowiem pragnęli w ogóle wyeliminować myśl o tym, że kiedykolwiek budowano podziemne obiekty przemysłowe, a zwłaszcza w tak bliskiej odległości od granic Polski.

Niemiecki badacz fortyfikacji, Gunter Fischer, w swojej pracy na temat MRU napisał: „dzisiejszemu obserwatorowi frontu fortecznego nasuwa się pytanie, przy całym uznaniu dla taktyczno - technicznych osiągnięć, czy olbrzymi wysiłek związany z budową tych urządzeń fortyfikacyjnych był potrzebny wobec takiego potencjalnego przeciwnika jak Polska? (...) Pojawienie się w tych latach lotnictwa wojskowego dopuszcza wątpliwość, co do wytrzymałości budowli, przynajmniej wzniesionych panzerwerków tzw. odporności B. Wydaje się jednak gorzką ironią historii fakt, że wybudowany z niesłychanym wysiłkiem front forteczny, w czasie wojny prawie rozbrojony, przekształcony dla celów przemysłu zbrojeniowego, w 1944r. prowizorycznie poprawiony, z braku dowództwa i załogi, prawie bez walki wpadł w ręce Armii Czerwonej”.



Podziemia M.R.U.



Podobne do naszych wątpliwości ma także badacz niemiecki!

W publikacjach o MRU autorzy zgodnie stwierdzają, że tunel główny wybudowano jako drogę szybkiego ruchu, z kolejką elektryczną zasilaną z akumulatorów, aby uniknąć budowy kłopotliwej instalacji elektrycznej.

A takie kolejki budowano wyłącznie w podziemnych fabrykach! Nie ma ich nawet na zachodnich rubieżach, na Wale Atlantyckim. O tym, że ten tunel „szybkiego ruchu” budowano jako hale fabryczne świadczy też jego konstrukcja. Są tam wnęki na narzędzia, stanowiska na obrabiarki, ustawiane szeregowo wzdłuż jednej ściany, są miejsca na kable elektryczne. To nie są przewoźniki, ani przeróbki, to wszystko budowano już na etapie wznoszenia całej konstrukcji!

Po obu stronach tunelu są naprzemiennie rozmieszczone boczne komory. Mogły służyć bez problemów jako dodatkowe hale fabryczne.

W literaturze wspomina się o nich jako o... kominach kontrminowych, spotykanych w średniowieczu.

Hale są wykończone, obetonowane, szczelne, bez wyjścia w litą skałę, czy ziemię. Ciekawe też, dlaczego te boczne hale Niemcy zasypali ziemią i zamurowali cienką ścianką od strony tuneli, na jedną cegłę; zrobiono to tuż przed opuszczeniem obiektu!

Kolejne pytanie - skąd wzięto ziemię do wypełniania komór, bo na pewno nie wożono jej z powierzchni. Zatem, jeżeli tą ziemię przemieszczano wewnątrz, to muszą istnieć ogromne podziemne wyrobiska, skrzętnie ukryte przed naszym wzrokiem. Co zawierają? Nie zapominajmy, że właśnie w

MRU, zaraz po wojnie Rosjanie znaleźli ukryte tam zrabowane dzieła sztuki!

W Archiwum Wojewódzkim we Wrocławiu udało się odnaleźć raport Szefa Uzbrojenia DOW Poznań, majora Edmunda Dudkiewicza - oficer ten, w latach 1945 - 1946, z urzędu penetrował MRU, i napisał, że „ta linia podziemnych fabryk ma ok. 60 km długości, w miejscowościach Kaława i Paradyż są wejścia do systemów podziemnych, w Świebodzinie jest wejście do podziemnego systemu, a na terenach b. powiatu Świebodzin są dwa inne. W Bledzewie jest kolejne wejście do podziemnej fabryki. Takie samo wejście jest w Gorzowie. System ten jest rozbudowany w głąb. Przykładowo Sulęcina ma 2 podziemne fabryki itd.” Oczywiście nie ma możliwości zweryfikowania treści tego raportu, ale też nie ma powodów, aby wątpić w jego wiarygodność - w końcu pisał go odpowiedzialny oficer, pisał go dla swoich przełożonych i musiał się liczyć, że podane informacje mogą być sprawdzane.

Inny badacz z tamtego okresu, inż Marian Mazur, kierownik grupy specjalnej, powołanej przez Ministerstwa: Przemysłu, Bezpieczeństwa i Ziemi Odzyskanych, napisał w swoim sprawozdaniu z dnia 4.III.1947r., że tzw. Linia Odry, względnie Linia Hindenburga, jest zbiorem obiektów przemysłowo - wojskowych, rozmieszczonych wzdłuż wschodniej granicy niemieckiej z 1939r. W skład tego zbioru wchodziły:

- zespoły podziemnych fabryk,
- fabryki naziemne,
- pojedyncze zakłady i magazyny przystosowane do potrzeb wojskowych.

Zatem i ta grupa penetracyjna, mająca dostęp do wszystkich danych, nie zatrzymała się na MRU jako obiekcie fortecznym, lecz określiła go jako system podziemnych fabryk, z konieczności technologicznej, powiązany z fabrykami naziemnymi.

Ta ekipa między innymi, na własne oczy zobaczyła „zainstalowany pod ziemią ciąg obrabiarek, kadzie odlewnicze i galwanizacyjne, piece hutnicze, a także około 10 wagonów odlewów silnikowych z duraluminium, jakieś podzespoły do czołgów i inny sprzęt wojenny”. Mimo usilnych poszukiwań nie znaleziono jednak ludzi, byłych więźniów, którzy by mogli powiedzieć co tam naprawdę się działo.

Być może to właśnie ich szczątki spoczywają gdzieś w nieznanym nam wyrobiskach, z których ziemię wyrzucano do bocznych korytarzy? Na temat jednej z podziemnych fabryk w Sulęcinie pisał w styczniu 1946r. „Dziennik Ludowy” nr 24. Przedruk z wrocławskiego Słowa Polskiego.

„Całe poznańskie zostało poruszone sensacyjnym odkryciem w okolicy Sulęcina. Zupełnie przypadkowo natrafiono na wejście do prawdziwego podziemnego miasta, rozciągającego się na powierzchni kilkudziesięciu kilometrów. Jest to olbrzymi kompleks podziemnych obiektów przemysłowych, obejmujących między innymi fabryki części samochodowych, warsztaty mechaniczne i elektryczne. Podziemne miasto posiadało rozbudowaną kanalizację, doskonałą sieć elektryczną, dwutorową linię kolejową z licznymi bocznymi rozgałęzieniami. Takich fabryk wybudowano dużo na terenie Polski Zachodniej. Robotników przymusowych, zatrudnionych pod ziemią, nigdy nie wypuszczono na powierzchnię! Wejść strzegły silne oddziały SS. Przed zbliżającym się frontem - kontynuowała gazeta - podziemne miasta wysadzono i niszczone ważniejsze obiekty. W sulęcinskiej fabryce robotników uprowadzono, lub wymordowano gdzieś w tunelach. Resztki urządzeń mieszkalnych, baraków i magazynów, wskazują, że Niemcy zatrudniali tutaj w Sulęcinie, tysiące robotników”.

Dane wywiadu polskiego, uzyskane w okresie międzywojennym, są na tyle precyzyjne, że można z nich wyciągnąć właściwe wnioski. Klasycznym przykładem może być tragiczny los agentki polskiego wywiadu Joanny Kursatz, pseudonim „Anna Krug”, numer ewidencyjny 3201 - 5/32015.

Jeszcze w maju 1939r. nadała ona do polskiej centrali meldunek ze swojej obserwacji w rejonie Wysoka. Stwierdziła, że w podziemnych tunelach trwają jeszcze intensywne prace, pracuje wiele ludzi, ale już zainstalowano rozmaite aparaty, bardzo wydajne maszyny i instalacje wysokiego napięcia. Jest to bardzo jednoznaczna informacja o tym, że fabrykę uruchomiono w pierwszej połowie 1939r.

Skąd zatem nasi pisarze i badacze MRU wzięli datę 1943r. jako tę, w której w tunelach miano zainstalować podziemną fabrykę?

W świetle powyższych faktów, niewątpliwie chodzi tu o udaną akcję dezinformacji.

Joanna Kursatz w 1940r. została aresztowana przez Gestapo, bowiem totalne niechlujstwo oficerów wywiadu Wojska Polskiego doprowadziło do tego, że Niemcy bez wielkiego wysiłku otrzymali kompletne teczki polskich agentów działających w Niemczech. Na procesie agentki niemiecki sąd poprosił Abwehrę (wywiad i kontrwywiad wojskowy III Rzeszy) o ocenę jej szpiegowskich informacji przekazanych Polsce, a także ocenę stopnia ich zagrożenia dla Rzeszy Niemieckiej. W odpowiedzi Szef III Oddziału Abwehry napisał:

„Dane o umocnieniach pod Wysoką, mówiące o robotnikach podziemnych, mają szczególne wojskowe znaczenie. Informacje o założonych dla ich obrony rowach przeciwczołgowych odpowiadały prawdzie. Podane informacje o zamontowaniu maszyn w tunelu pozwalają polskiemu wywiadowi zorientować się, że chodzi o większe podziemne zakłady”.

Zdaje się, iż sama Abwehra dała tu odpowiedź o rzeczywistych zadaniach i znaczeniu MRU (Porównaj: Wiktor Lemiesz, *Niespokojne pogranicze*. Wyd. MON Warszawa 1989r.)

Polska agentka, podobnie jak ponad setka innych agentów pracujących dla polskiego wywiadu, poniosła śmierć. Ich ofiara była tragicznie daremna, bowiem jeszcze dzisiaj trzeba toczyć boje o prawdę. Polscy agenci, małżeństwo Franciszka i Tomasz Rychły, 16 kwietnia 1939r. meldowali, że wieś Kęszycza w powiecie Międzyrzecz, jest całkowicie zabudowana pod powierzchnią. Podkreślam słowo „całkowicie”, bo dzisiaj nic o tym nie wiemy. Rychłowie dalej meldowali, że nikt nie widzi jak Niemcy parowozem wjeżdżają pod ziemię, bo ludność cywilna została wysiedlona. W Świebodzinie - jak meldo-

wali - budowane są koszary szczególnie tajne, bo otoczone wodą, która jest pod napięciem, i każdy kto wejdzie do wody, zostanie zabity prądem. Szosa od Świebodzina do Międzyrzecza jest całkowicie zabudowana pod ziemią, tak jak cała okolica, głównie Kęszycza i Wysoka. Dalej ci sami agenci podawali, że wieś Kęszycza ma być opasana zasiekami z drutu kolczastego pod napięciem.

Zasieki pod napięciem zakładano w obozach koncentracyjnych i obozach pracy. W koszarach zasiek pod napięciem, przy masowym użyciu lotnictwa i czołgów, a także przy planach wojny błyskawicznej raczej nie budowano. Były tam więc olbrzymie i bardzo ważne obiekty.

Już w pierwszej połowie 1939r. od Skwierzyny poczynając, Niemcy wysiedlali miejscową ludność, różnie skoliigaconą z rodzinami polskimi z pobliskiej granicy; na ich miejsce osadzając rodziny czysto niemieckie, które zostały zatrudnione w podziemnym przemyśle zbrojeniowym. Oprócz oczywiście jeńców.

Autorzy i badacze MRU podają, że w tunelach zaprojektowano też krematorium, dla spopielenia zwłok zabitych obrońców fortecznych umocnień, rezygnując z budowy komór do przechowywania czasowego zwłok zabitych. Krematorium jednak nie wybudowano, bo go nie ma. Skąd to zaniebdanie w niemieckiej precyzji? A może od samego początku nie zakładano jakichkolwiek walk na tym obszarze? Krematoria natomiast byłby potrzebne w przypadku budowy podziemnych fabryk, w których miały pracować tysiące jeńców.

Takie krematorium faktycznie zainstalowano, jednak dla celów konspiracyjnych w... szpitalu psychiatrycznym w Obrzycach pod Międzyrzeczem!

Ponownie pojawiają się tu elementy dezinformacji, przemyślana koncepcja dyskretnej zlikwidowania ogromnej masy zwłok, którą należało „przerobić”, bez podejrzeń samych więźniów i miejscowej ludności.

W piwnicach tego szpitala, po wojnie zastano liczne paleniska do elektrycznego spalania zwłok. Dla normalnych potrzeb szpitala, nawet przy założeniu masowej eutanazji jaka tam mogła mieć (i miała) miejsce, jedno, najwyżej dwa krematoria, w zupełności wystarczyłyby. Jeżeli zainstalowano tak wiele pieców, to znaczy, że obiekt ten budowano dla większych potrzeb.

Małe, jednokomorowe, przenośne krematorium, które można obejrzeć w obozie „GrossRosen” w Rogoźnicy (woj. wałbrzyskie), spalało na dobę aż 400 trupów, natomiast nowoczesne, elektryczne, zwiększało wydajność w jednej komorze do tysiąca ciał!

Po co by zatem, jak nie dla „potrzeb” przemysłu, i zatrudnionych w nim jeńców zainstalowano w Obrzycach tak ogromne „moce przerobowe”!

Cdn.

Ryszard Marest

Zdjęcia:

- „Niemieckie samoloty rakietowe 1935 - 1945”
- Marek Długosz (M.R.U.)

